№ 89. Warszawa, dnia 24 Października / 5 Listopada 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

ALFRED de MUSSET.

Studyum Literackie.

Dokończenie. (Ob. Nr. 88).

Tysiące drobnych, a w losie kochanków stanowczych szczegółków, tysiące drobnych, ale charakterystycznych wydarzeń, malowanych czasem nader świetnie i barwisto, czasem znów wychodzących z pod pióra tak wyraziście i okrągło, jakby z pod Fidyaszowego dłuta (opis piękności pani Pierson, w pierwszych dniach miodowych), raz zacieśniają, to znowu zwalniają węzeł gorącéj miłości—rozerwany w końcu obustronném znużeniem, obustronném sił moralnych wytężeniem. Oktawiusz nie może być nigdy szczęśliwy ani spokojny, bo duch *zwątpienia* zatruł trucizną krew jego... Wszystko stawało mu się podejrzaném. Po pierwszych dniach miłosnego uniesienia, zachmurzył się prostym jéj żartem, uważając go za kłamswo;—późniéj—straszyła go jéj *przeszłość*, któréj szczegółów aż dotąd nie był ciekawy. Zdrada jakiéj doznał od pierwszéj kobiety, zaciemniła mu oczy, wszędzie teraz widział tylko zdrady i kłamstwa. Jéj uległość nawet wydała mu się zbyt nagłą, a przez to podejrzaną... Nastąpiła pierwsza scena zazdrości straszna i gwałtowna, lecz wnet skruszony kochanek pada na kolana, błagając: „...Ty jedna uleczyć mnie możesz z przeszłości... prowadziłem życie rozpustnika, a w sercu tkwią wspomnienia, które się nie zatrą nigdy." Dziwaczność w postępowaniu, w słowach gorzkich i myślach ubliżających—jaką nieraz przybierał Oktawiusz, tłómaczy autor humorem właściwym rozpustnikom. Proces prosty—zmysły powodują się fantazyą,—młodość i wola znoszą jéj wybryki, ale natura mści się w milczeniu;.. człowiek obrzydza sobie sobie to, czego wczoraj namiętnie pożądał, życie staje się gorączką, władze zmysłowe nawet potrzebują sztucznego podniecenia; z gorącego pożądania przechodzi się w głęboki przesyt. Usposobienie to każe mu się zastanowić nad tém jakim jest rzeczywiście, złym, podejrzliwym czy szalonym? Znajduje bowiem ochotę dokuczania Brygicie, drażnienia jéj, wprawiania w zazdrość, skutkiem czego następuje druga scena, daleko gwałtowniejsza.

Zazdrość wściekła, którą bohater uważa za owoc przeszłości, i wesołość okrutna, lekkomyślna, obrażająca każdém słowem tę, która go szczerze kocha, opuszczały go tylko na rzadką bardzo chwilę. Ze strasznych tych scen, w których rozdzierał własne serce, chciwy cierpień, pamiętny zawsze przeszłości, wpadał znowu w nadzwyczajną egzaltacyę, w ubóstwienie kochanki. Zelżywszy ją, przepraszał na kolanach, przekleństwo zastępowały łzy, z cierpienia przechodził w szał szczęścia;—zasypiał zachwycony, a gdy się obudził, znów niewiara płynęła mu z ust ironicznym potokiem. A podczas tego wszystkiego—Brygita z anielską cierpliwością, z pogodnem czołem matki i siostry—tuliła biednego i koiła, lecz rozpacz i znużenie śmiertelne wyryły się aż nadto widocznie na jéj pobladłem licu. Ciotka jéj umarła—chciała uciekać przed fatalną miłością, Oktawiusz zatrzymał ją—nareszcie chcąc się poprawić prosi ją iżby wyjechali w daleką podróż.

Wyjechali—lecz zatrzymali się w Paryżu. Tu wmięszał się w ich pożycie dawny znajomy Brygity, Smith, a Oktawiusz zaczyna burzyć się zazdrością tajoną, okropną, odbierającą mu spokój a jéj ostatnią moc wytrwania.... Tylko, że ta zazdrość przedstawia się jako paroksyzm odmienny od dawnego. Nie jest ona wybuchającą, gwałtowną, ale gryzącą sama siebie. „Nie czułem gniewu, ale wielką boleść,—nie podejrzywałem, ale *wątpiłem*." *Zwątpienie* nieustanne, wieczne—oto dewiza Oktawiusza i wszystkich bohaterów Musseta, oto rezultat nagromadzonych oddawna motorów,—oto istotna i najfatalniejsza *choroba wieku*,—na którą i my cierpimy w wielkich rzeczach i małych, w miłości i przyjaźni,—w przedsięwzięciach publicznych i codziennych, w ideach i czynach. „Urodziłem się w wieku bez Boga, a więc nie mało odpokutować muszę!—woła w końcu bohater,—zostawiając tę mimo wszystkiego nad wszystko ukochaną—swemu milczącemu i pokornemu rywalowi, Smithowi.

P. Sainte-Beuve, oceniając ten utwor chłodno lubo w wielu względach sprawiedliwie, powiada, „czego autor chce? iżby młodzi dotknęli się palcem rany, nazwanéj rozpustą, i żeby zarazem wskazać im lekarstwo?... Lecz czyż potrzeba być rozpustnikiem, ażeby posiadając przedmiot miłości, znużyć się nim nareszcie?... i czy przeciwnie nie było takich młodych serc, które odkupiły się miłością, z rozpusty? Oktawiusz przeto jest wyjątkiem szczególnym „nie stanowiącym reguły" etc. etc.

Być może panie Sainte-Beuve, ale wchodząc w myśl i intencye autora, odpowiedziećby Ci można, że Oktawiusz się nie znużył, owszem kochał do ostatka, ale przekleństwo rozpusty i następstwo jéj: niewiara i wpływy wieku, których zaprzeczyć trudno, ciążyły nad nim baltazarową groźbą, nie dając szczęścia ani jemu, ani jéj... (*)

(*) Komentarzem do téj książki. lubo smutnym—jest powieść pani Sand p. t. „Elle et lui"—i odpowiedź na to brata Alfreda, Pawła de Musset.

Sąd Saint-Beuva wydanym został spółcześnie czyli wówczas kiedy co do kierunku Musseta nie wyrobiono sobie jeszcze stanowczéj opinii, lubo stanowczo zgodzić się musiano na jego niezwykły i energiczny talent. Krytyki posypały się rzęsiście,—obrażeni klasycy i romantycy nie szczędzili przytyków zuchwałemu młodziutkiemu poecie, który ich niejednokrotnie wyzywał na turniéj i nielitościwie kruszył na nich kopie. Jak wszyscy wielcy pisarze, jak Bajron, Słowacki, Heine i inni — tak i Musset z goryczą się nieraz odzywa do całéj rzeszy krytykujących. Przedewszystkiem jednak oburzał go ogólny zarzut, jakoby się przejął Bajronem. Z gniewem odpowiada, że i Bajron naśladował Pulci'ego, a w przedmowie do „la Coupe et les lèvres" mówi:

„Je ne fais pas grand cas, pour moi, de la critique,
Toute mouche qu'elle est, c'est rare qu'elle pique.
On ma dit l'an passé que j'imitais Byron:
Vous qui me connaissez, vous savez bien que non.
Je hais comme la mort l'etat de plagiaire;
Mon verre n'est pas grand, mais je bois dans mon verre,
C'est bien peu, je le sais, que d'étre homme de bien,
Mais toujours est-il vrai que je n'exhume rien.

Krytyka, mojém zdaniem, nie gruba zwierzyna:
Komar-ci to brzęczący, lecz rzadko docina.
Mówiono w zeszłym roku, że grabię Byrona;
Wy znający mię wiecie, że to wieść zmyślona.
Wolę śmierć niż łakomstwo na zasoby czyje:
Mój puharek niewielki, lecz z własnego piję.
Być uczciwym człowiekiem, to jeszcze niewiele;
Lecz zmarłych nie obdzieram, rzec to mogę śmiele.

Krytyka współczesna a i późniejsza z małemi wyjątkami, upatrywała we wszystkich dziełach Musseta pierwowzory, to w Bajronie, to w Szekspirze, to nawet w Getem. Oto co pisze jedna z literatur: „Był on kapryśnym *Arielem* grającym czasem rolę *Calibana*, figlarnym *Pukiem* lubiącym ubierać w oślą głowę kochankę Tytanii. Tkwiło w nim wszystko to, co wdzięk ma w sobie miłego, niespodzianego i kapryśnego;—dziwaczność i niemożebność krzyżowała się w nim z najwyższém natchnieniem. W „la Coupe et les lèvres" kopiował namiętność Fausta — w *Porcyi* Korsarza, Larę, — w *Namounie* Don Juana." Ktoś znowu pisze: „Dzieła Musseta są połączeniem ironii z liryzmem, głębokości z lekkomyślnością swywolną." Inni znowu porównywają go z Henrykiem Heine—i jest w tém niemało słuszności. Obydwóch charakteryzuje dowcip wśród najgłębszego liryzmu, szyderstwo wśród wynurzeń uczucia; — obaj mają ten sam wdzięk, też łatwość, harmonię i prostotę formy; i jeżeli Heinego jako jednego z założycieli młodych Niemiec postawiono obok Getego, Szyllera i Uhlanda—to Mussetowi godzi się zająć miejsce obok W. Hugo i Lamartin'a. Heine różni się wszakże od Musseta, cynizmem szczerym, goryczą większą i brakiem wszelkiéj wiary, wszelkich zasad i przekonań, lubo przewyższa Musseta siłą plastyczną i swobodą formy, czemu może bogatszy niemiecki język dopomaga.

Dla polskiéj społeczności, Musset uważany objektywnie, będzie zawsze czarował wdziękiem, polotem wyobraźni, i ową ciekawością zagłębiania się w zagadnienia, poruszające ludzkością i człowiekiem. Prawda, że wiele z tych zagadnień dziś już przebrzmiało, albo zużyło się, albo w praktycznych następstwach przeobraziło straszliwie lub potwornie, lecz w epoce występu poety — drgały one we wszystkich piersiach — i dla tego otoczyły go szczerém, niekłamaném współczuciem. Musset wyrażał niepokój i namiętności, jakie w jego epoce zajmowały umysły, —i dla tego był *wpływowy*, i dla tego rozpłomienił całe pokolenie, i tak jeszcze wówczas nieostygłe z wrażeń pierwotnego romantyzmu. Wjego ślady poszła cała gromada' młodzieniaszków, opiewających swe przedwczesne rozczarowania, swoje „poorane bladym smutkiem czoła" i swoje kochanki—które ich zawsze zdradzały. I stało się, że Musset wytworzył mimowoli *szkołę*, w któréj pośród wielu wzorowych uczniów, znalazła się cała rzesza naśladowców na ślepo, naśladowców strony zewnętrznéj, dekoracyj, biorących słabostki mistrza za jego charakterystyczne i konieczne znamiona. I stało się—że jego *swobodny i szczery* polot przeistoczyli na bezwstyd, niby artystyczny, sceptycyzm poety—filozofię, na bezbarwną niewiarę. I stało się—że to co u mistrza było najwyższą szczerością, najgłębszém uczuciem, najsroższą boleścią krwawą, to u naśladowców przerodziło się w afektowany szum słów, sprowadzający w następstwie zły smak, skrzywione poczucie estetyczne, i.... przytłumienie prawdziwéj poezyi, tam gdzieby wytrysnąć może mogła pozostawiona sama sobie. Kierunek ten, któryby nazwać można *sentymentalnością rozpusty*,—wzbił się w górę we Francyi aż do czasu najnowszych wypadków (*); u nas nie rozwielmożniał się tak dalece, nie ogarnął wszystkich lir poetycznych, ale wiele z nich nastroił fałszywie. Ufajmy, że gdy stare struny pękną, czego sobie życzyć trzeba — nowe zabrzmią akordem zrozumiałym dla tych przedewszystkiem, dla których dźwięk swojski niesztuczny i nie wyszukany, stokroć milszy od obcego.

(*) Dziś Manuel i Coppée, męzkim odzywają się głosem, i może będzie to głos odrodzenia.

RAMUŁTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 88*).

VI

Był to zaproszony niepotrzebnie a bez złéj myśli pan Sylwan Ramułt, którego Herman tu wciągnął. Na widok jego zamilkły usta i zgroza odmalowała się na twarzach. Hrabina mimo różu i bielidła zarumieniła się z niezadowolenia, oddając mu jego ukłon bardzo nieznaczném skinieniem głowy; inni przytomni nadęli się, usta powykrzywiali i zaczęli ustępować jak od zapowietrzonego.

Sylwan wcale się nie zdał zmieszany tém przyjęciem, wytrzymał je mężnie, spokojnie i poszedł powitać brata, który teraz dopiero spostrzegł jak niepotrzebnie wprowadził tu radykała znanego ze swych zasad, w koło, które się ze wstydem od niego odwracało. Matka domyślając się, że była winną tę przykrość Hermanowi z ukosa rzuciła mu okiem zagniewaném... Milczenie głuche, ciężkie, przykre, rozeszło się aż do ostatnich kończyn sali. Sylwan doskonale zrozumiał iż on był przyczyną tego wrażenia; skinął na brata i wyszedł z nim razem do sąsiedniego pokoju.

Przez jakiś czas jeszcze milczano, w końcu Paprzyca przysunął się z krzesłem do gospodyni.

— Pani hrabino dobrodziejko, zawołał zniżając głos—z jakiémże zdumieniem spotykam tu tę figurę w jéj salonie! Czyż być może ażebyś hrabina przyjmowała u siebie ludzi tak skrajnie przeciwnych swoim przekonań, jak ten pan inżynier?

— Ale to jest *jakiś* przyrodni brat mojego Hermana—odparła hrabina—pojmuje pan...

— Święte są węzły rodzinne! lecz gdzie zagraża zaraza moralna, gdzie idzie o ratowanie duszy! Czy się pani hrabina nie lęka wpływu tego szkodliwego, zdolnego a upartego człowieka na młodociany umysł pana Hermana?

— A! ja to wszystko wiem, szanowny panie, i gryzę się a martwię, mówiła hrabina wzdychając—ale jakże się go pozbyć?

Paprzyca się zamyślił.

— Położenie jest wyjątkowe—rzekł; a jednak przestrzedzby należało Hermana... nakazać mu, by unikał...

Tu schylił się do ucha hrabiny.

— Mam podejrzenie, że hrabiego wprowadza w złe towarzystwa, zapoznaje z aktorkami, ułatwia widywanie się z niemi...

Hrabina ręce ze zgrozą największą załamała...

— O, mój Boże! odezwała się, byćżeby to mogło? mój Herman który dotąd był tak czystym, tak niezepsutym i niewinnym!

Lubicz siedzący obok, ażeby się nie rozśmiać, zrobił minę nadzwyczaj surową... Hrabina oczy w niebo podniosła.

Gdy w salonie cicha ta rozmowa rozpoczyna jak preludyum nową i gwarniejszą, w drugim pokoju Herman przechadza się z Sylwanem.

— Powiedz mi, spytał Herman, coś ty im zrobił, że tu na widok twój nosy krzywią?

— Ja! im? rozśmiał się Sylwan—ale ja z nimi niemam nigdy nic do czynienia, żadnego stosunku, jakżebym im co mógł uczynić? Widać moje przekonanie sprzeciwia się ich opiniom, i dla tego jestem dla nich niewygodnym gościem...

— Aż mnie śmiech brał, gdym zobaczył wejrzenie Paprzycy, Kuczaby i Lubicza jakiém cię powitali...

— Po cożeś mi tu przyjść kazał?

— A! rzekł Herman ściskając go—na umyślnie—ja tych trutniów cierpieć nie mogę. I wiesz? dodał—to szczególna rzecz, większa część waszéj demokracyi tak mi jest wstrętliwa jak oni—każde w swoim rodzaju, ale to i tamto po większéj części—lisi komedyanci.

Sylwan popatrzał nań—Herman poziewał.

— E! co mi tam odezwał się—jedno i drugie niewiele warto! klerykały i jezuici szalbierze, a twoi ludowi adwokaci i demokraty—szarlatany!

Sylwan zdumiony bardzo, stanął patrząc mu w oczy.

— Wiesz, rzekł: nie spodziewałem się, żebyś tak głęboko wszedł w naturę rzeczy.

— Głęboko? ja? głęboko? ruszył ramionami Herman. Z powierzchowności sądzę tylko i tych świętoszków, którzy żegnając się grzeszą z westchnieniami, i tych deklamatorów, co bohaterami być obiecują jutro, a dziś o swojéj tylko pamiętają kieszeni. Ale—dodał Herman—wiesz kochany Sylwanie? wolę jeszcze świętoszków, bo mają formy, chodzą w rękawiczkach i nie plują na podłogę.

Sylwan śmiał się, lecz gorzko...

— Ja ci powiem, że zarówno nie cierpię szalbierzy w sutannie jak szarlatanów w stosowanych kapeluszach z piórami; lecz szarlatan śmieszy i na nim każdy się pozna, a świętoszek jest chodzącym fałszem i kłamstwem... zatém najpodlejszą istotą.

— Wierz mi—*ambo meliores!* dodał Herman...

a nam wolno się śmiać z obojga... Przepraszam cię tylko bardzo żem nieopatrznością moją naraził cię na chwilową nieprzyjemność... Wiedziałem, że tobie nie będzie zbyt przykro, boś wyższy nad nieprzyjemność, a im popsułem humor na długo...

— Bylebyś, nieznośny figlarzu, rzekł Sylwan, i sobie tém nie zaszkodził. Szukasz zabawki nawet w tych rzeczach które wcale są niezabawne.

— Muszę, zamknął drugi— bo się okrutnie nudzę...

Tu z werwą komiczną począł bijąc się w piersi opisywać Herman, jaką niedorzeczność popełnił idąc z bukietem do Violi.

Sylwan się oburzył.

— Nie gniewaj się bracie! na Boga! nie gniewaj! popełniłem niegodziwe szaleństwo, ale to będzie ostatniem. Odtąd po policzku jaki mi dałe,—szanuję ją.

— Jakto! po policzku? krzyknął Sylwan.

— A! *au moral!* kazała mi iść precz za drzwi. Westchnął Herman i dodał:

— Tyś szczęśliwy, pracujesz, jesteś spokojny, —w zgodzie z sobą; ja... rzucam się jak zwierz w klatce... wiele przebaczyć mi można... Niepowinieneś nigdy się gniewać na mnie, ale mną kierować i prowadzić.

To dobre słowo rozbroiło Sylwana.

Nie dano im się wszakże rozmówić dłużéj, gdyż Dołęga pod rękę z Kuczabą weszli śmiejąc się do do tego pokoju, i ogólniejsza wszczęła się rozmowa...

VII.

W małéj salce Sylwana, któréj drzwi na ogród były otwarte, siedziała w fotelu Lelia... przeglądając album z fotografiami... Sylwan przechadzał się zamyślony.

— Mnie się zdaje—mówiła siostra—iż najprostsza grzeczność każe ci, bądź co bądź złożyć uszanowanie starościnie, i oddać wizytę panu Aleksandrowi!.. *C'est de rigueur!*

— Nie przeczę! a jednak—będę otwarty z tobą—waham się—dla wielu powodów... Na co mam w sobie przygasły ogień odżywiać? po co niepokoić pana Aleksandra? Na co babci robić przykrość, a biednéj Hannie już nie wiem kłopot czy—niepokój?

— Ty łudzisz się kochana Lelio—tobie się chwilami zdawać może, iż cuda się dzieją na świecie, że pan Aleksander może się dać przebłagać i spojrzeć na mnie lepszém okiem... że — nie mówmy o tém.

— Owszem, mówmy o tém, śmiało podchwyciła Lelia—ty kochasz Hannę i Hanna ciebie kocha... to założenie.

— Ale nie trzeba nigdy z fałszywego założenia wychodzić, odparł Sylwan. Że ja kocham ją, to nie ulega wątpliwości, a żeby ona mnie kochać miała—jest więcéj niż wątpliwém...

— Mylisz się...

Sylwan zmilczał.

— Babcia, rzekł po chwili, ledwie mnie znosi... ojciec jawnie okazuje wstręt, i dał sam do zrozumienia, abym się nie uwodził marzeniami. Hanna sobą nie włada.

— Jesteś samą prostotą i niewinnością, przerwała Lelia. Babcia, poczciwa staruszka, ulega wpływom i kocha Hannę... ojciec jest najsłabszym z ludzi, którego ja nawet, istota wątła, mogę uśmiechem i słodkiém słowem poprowadzić gdzie zechcę. Jest więc wiele do zrobienia...

— *Vous comptez sans votre hôte!* chłodno począł Sylwan nie patrząc na nią, z oczyma spuszczonemi w ziemię—tym gospodarzem jest klika, obóz, stronnictwo, nazwij go jak chcesz, do którego babcia i Oleś, sami o tém nie wiedząc, należą... Jakżeby to stowarzyszenie dopuściło milionowéj pannie wyjść za ubogiego inżyniera, który nie udaje ani panicza, ani szlachcica i chce mieć własne przekonania, nie ulegając komendzie z góry? Potwarz, intryga, gwałt, oszczerstwo, postrach, użyte zostaną byle nie dopuścić tego uronienia siły... Majątek ten musi się dostać komuś nieposzlakowanemu o radykalizm i swobodę przekonań—a gdyby nawet Hannę potrzeba poświęcić, poświęcą ją nie wahając się, byle majątku nie stracić i nie dać go w ręce tych, których uważają za swych przeciwników. Do tak wysokich celów... o jakich marzą—wszelkich środków użyć wolno; a teologowie stowarzyszenia znajdą wyborne argumenta na uniewinnienie. Wyższy cel oczyści nawet z szalbierstwa, z gwałtu zadanego woli i t. p.

— Wiesz kochany Sylwanie, że mi się słuchając ciebie na śmiech zbiera... odezwała się nie dając mu dokończyć Lelia. Hrabia Rzewuski, autor „Soplicy”, mówił jednemu z wyższych urzędników, jeśli się nie mylę p. B......wi, że zna dwóch śmiesznych (wyraził się ostrzéj) ludzi, z których jeden zawsze się czegoś boi, drugi wiecznie czegoś spodziewa... Wiadomo do kogo to było zastosowane. Ja znam dwóch takich co się wzajem straszą, sami nie wiedząc czém.. jedni skrytą potęgą Lojoli... drudzy massonami i tajemniczemi spiski... W średnich wiekach można się było może obawiać takich machinacyj podziemnych, dziś to są straszydła na wróble... Jezuici chcieliby może udawać potężny zakon Lojoli i mają ogromne siły finansowe, które umiejętnie zużytkowują—a massoni i ludzie postępowi na jaw wyciągają wszystko, i bój musi się toczyć nie po ciemnych kątach, ale na szerokim placu pod słońcem jasném.

— Tymczasem, mówił Sylwan, jezuicka potęga, tak czy inaczéj się ona zowie, potęga wstecznictwa jest jeszcze wielka; wszystko co jest w posiadaniu mienia, władzy i intelligencyi broni monopolu.

— Ale cóż do tego Hanna należy? śmiejąc się spytała Lelia—*c'est une lubie!*

— Hanna ma majątek! Hannę nawrócą... głowę jéj zawrócą... i pójdzie za ich wybranego lub... do klasztoru na ksienię... Wmówią jéj missyę obrony społeczeństwa, porządku... religii.

Zerwała się Lelia z krzesła, rzuciła album, pobiegła do brata i pocałowała go w czoło, wołając:

— Jesteś monoman!...

Potém wróciła do krzesła... *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA

Paryż 26 Października 1872 r.

Będzie temu ledwo kilka tygodni, gdy straciłem był nadzieję rozmawiania z wami kiedykolwiek szanowni czytelnicy: śmierć bowiem przez całe dwa miesiące czekała u mego progu na pozwolenie wejścia do komnaty— i co chwila spodziewałem się spotkać z nią oko w oko. Ale Najwyższy Lekarz postanowił inaczéj: minęło niebezpieczeństwo, ustały bole, wzmagają się siły. Wracam więc do pióra.

Nie dziwi was zapewne, łaskawi czytelnicy, że od razu na wstępie, przekraczam granice przyjętych powszechnie przez korrespondentów, konwencyonalnych form, a odzywam się serdecznie, jak gdybym każdego z was znał osobiście. Łatwo pojmiecie źródło z jakiego płynie ta niezwykła mowa, i przekonany jestem że nie poczytacie mi jéj za złe. W pierwszéj mojéj korrespondencyi do Wieńca, wypowiedziałem wojnę wszelkiéj rutynie—trzymam się więc ściśle tego programu. Wolę żeby mnie ktoś miał za oryginała, niż żebym w rozmowie z wami brał na wędzidło uczucie—i jak najemnik, ograniczał się na odrobieniu tylko niewolniczo mojéj literackiéj pańszczyzny.

Wiele leży na mnie zaległości z tych kilku przechorowanych miesięcy—dług ten jednak nie zdaje mi się zbyt trudnym do spłacenia. W ciągu bowiem tego czasu, tak na horyzoncie politycznym jak równie na literackim i artystycznym, nie błysnął żaden nowy meteor—co zaś do brukowych nowin, to już rzecz stracona niepowrotnie; trzeba je szkicować i podawać na czasie, albo nie dotykać wcale. Na tém więc polu wpadłem, jak to mówią u nas w deces. Trzeba się będzie jakoś wypłacić z téj zaległości! Nim to nastąpi, przystępuję do rzeczy bieżących.

Jeżeli meteory są tu rzadkie, nie braknie za to fajerwerków, a szczególnie szmermli. Wypuścił świeżo jednego Aleksander Dumas.

Od dawna już zbieram się napisać studyum o jego dziełach; ale wstrzymywała mnie zawsze trudność pomieszczenia go w jednéj korrespondencyi. Lecz że ramki w których pisuję moję sprawozdania, rozszerzyć się nie mogą, korzystam ze sposobności jakiéj mi nastręcza nowa zabawka Dumasa, aby scharakteryzować, choć pobieżnie, jego tendencyę i ocenić wartość moralną pisarza (który jak wiadomo, występuje ciągle z Biblią lub Ewangelią w ręku, a często nawet pozuje na proroka).

Szmermel, o którym mowa, sporządzony z pełną znajomością pirotechnicznéj sztuki, w szalonych swoim przebiegu popodsmalał nietylko sztuczne wdzięki płci pięknéj, jéj robrony i kwefy, ale nawet poważne rewerendy. Modnych paniczów sponiewierał do ostatka—słowem nie pominął nikogo—a więc straszny rejwach po salonach i po knajpach. Jakaś bezimienna dama (*) odstrzeliła natychmiast kolorową racą— w ślad za nią mignęły inne drobne pociski—a w końcu pan Emil Girardin wypuścił zrobioną na prędce z dawnych swoich materyałów bombę, któréj cyniczna ekspslozya napełniła zdziwieniem i wstrętem wszystkie uczciwe serca.

Ponieważ pisma p. Aleksandra Dumasa są tendencyjne, wypada mi powiedzieć słówko o dwojakim charakterze tego rodzaju literatury.

Każda wyraźna tendencya literacka, musi być koniecznie prosta, albo złożona:—prosta, kiedy wypływa z przekonania i ma jedynie na celu dobro społeczne,—złożona, kiedy jest szyldem kramarskim, służącym za przynętę dla publiczności, aby autor mógł się dobrać do jéj kieszeni. Autorów téj kategoryi jest bardzo wiele we Francyi. Ale tak dla jednych jak dla drugich, forma i dowcip są jedynym kluczem otwierającym wrota do sławy—bez nich wszelka tendencya piśmienna, zła czy dobra, musi skonać w chwili narodzenia. Kto tu celuje formą i dowcipem, choćby się najzupełniéj rozszatanił w duchu, może być pewien powodzenia. Wiedzą o tém tutejsi pisarze—ztąd też w żadnym kraju forma nie jest tak wyrobiona jak we Francyi i dowcip, także. Aleksander Dumas posiada w niepospolitym stopniu te przymioty, i pisma jego grają w literaturze taką samą rolę, jaką gra szampan wśród rozlicznych gatunków win francuzkich. Czyż podobna jest nie lubić szampańskiego wina? Wysadza z łoskotem korki; szumi pianą, na któréj migocą tęczowe iskierki; błyszczy w kieliszku

(*) Pani Olimpia Odouard.

jakby zamienione w płyn topazy—a co większa bije gazem do nosa, to dopiero przyjemność! sensacyi. Wszyscy wiedzą że to wino jest niezdrowe, i że go wiele pić nie można. Ale jak rę korki, a złoty płyn leje się strumieniem, nietylko we Francyi ale od afrykańskich brzegów



Pasterka kóz. Kopia z obrazu Meiera z Bremy.

Znałem tu kobiety (tak zwanego wielkiego świata) które piły szampana jedynie dla téj gazowéj się tu wstrzymać, kiedy tak pięknie szumi i tak mile łechce podniebienie. Strzelają więc w góaż do lodowatego morza.

Takie same powodzenie mają dzieła Dumasa:

kilka lat temu damy kameliowe przechadzały się po całéj Europie a dziś Księżna Jerzowa przechadza się w Krakowie i w Warszawie.

to na tém polu cyniczny dowcip Dumasa, który ma ową własność gazową szampana, tak miłą dla kobiet, okupuje wszystkie niedostatki autora.

mach Dumasa, jest tém samém, czem w ręku myśliwca lusterko na skowronki—i że tak samo jak myśliwy używa lusterka na oszołomienie



Jeden z krużganków Klasztoru księży Dominikanów w Krakowie.
Rysował W. Szerner.

Odkąd teatr przestał być szkołą a stał się zabawką publiczność która jest teraz, mniej więcéj wszędzie ta sama, i nie wiele ma wymagalności. Idzie jéj nie o ideę, ale o sensacye. Dla tego

Zejdźmy teraz do źródła jego tendencyi i obaczmy dokąd prowadzi.

Znam wielu ludzi światłych którzy twierdzą że to co publiczność bierze za tendencyę w pis-

i przyciąganie ptaszków, Dumas migawką skoncentrowanych idei, nęci i przyciąga do siebie publiczność. Zwierzyna różna, ale skutek ten sam: ptaszki i publiczność oskubane.

Jakkolwiek Aleksander Dumas nie jest mi sympatyczny, przekonanie moje o nim jest inne —przekonanie, oparte na sumiennném poszukiwaniu, a tém samém mniéj mylne, niż sąd dowolny ludzi światowych.

Tendencya Dumasa poczęła się nie w głowie jego, ale w sercu. Urodzenie jego nielegalne, a ztąd upokorzenia jakich doznawał w wieku dziecinnym i późniéj, nadały myślom jego i uczucia kierunek wyłączny. Ulegalizowanie późniéj onego, niezmazało pierwszych wrażeń — odbiły się one na wszystkich niemal jego pismach—które przez to stały się tendencyjne.

Cierpienia moralne są zawsze wielką szkołą, i przyśpieszają dojrzałość; ale nie są zawsze jednego gatunku, ztąd objawy ich muszą być różne.

Kiedy cierpienie człowieka wynika z dobrowolnego poświęcenia się dla jakiéj wyższéj idei, opartéj na wiedzy i przekonaniu, w takim razie rozwój wewnętrzny odbywa się normalnie, bo duch zmuszony co chwila do szukania drogi i siły pozaobrębem widomego świata, coraz wyżéj się podnosi doskonali, coraz pełniéj się rozwija. Wszystkie natenczas poruszenia wewnętrzne są na miarę wysokości celu, na miarę miłości którą cel ten rozwinął. Lecz kiedy człowiek od kolebki postawiony jest w położeniu dotkliwém, kiedy niesprawiedliwość ludzka zaczyna już ciężyć na małym chłopcu, i kiedy za winę rodziców, któréj jeszcze dobrze nie pojmuje, otacza go niezasłużona wzgarda i ciągle bodzie mu serce—w takiéj męce ducha i pod takim naciskiem rozwój moralny nie może odbywać się inaczéj jak tylko anormalnie: samym jedynie ruchem miłości własnéj, która im dotkliwiéj rażona, tém silniéj oddziaływa i tworzy w głębi duszy osad pogański trudny do wywabienia. Kto chce mieć wyobrażenia o tych cierpieniach i walkach, niech przeczyta dziełko autora pod tytułem „*L'affaire Clémenceau*,” które uderza prawdą obrazów i jest żywą protestacyą przeciw społecznemu pogaństwu. Szkoda tylko, że zakończenie tego dziełka nie odpowiada jego założeniu. Te to właśnie przejścia są przyczyną, że Dumas pomimo wielkiego rozwinięcia intellektualnego, zdolności i dobréj intencyi, nie mógł się dotąd zrównoważyć. W pismach jego, błyski zastępują prawdziwe światło ducha, dogmat religię, rozum serce, a dowcip jest prawie zawsze na usługach szyderstwa.

Pragnie on rehabilitacyi kobiet, ale za urodzenie swoje, a może też i za zawody doznane w miłości, mści się na kobietach, rozbiera je do nitki—i chłoszcze niemiłosiernie.

Za doznane na sobie krzywdy ducha, rzuca on ciągle w oczy społeczeństwu jego zdrożności, znikczemnienie i pogaństwo, a w imię religii wzywa do wejścia na drogę chrześciańską. Na nieszczęście zapomniał o tém, że kto woła ludzkość do odrodzenia moralnego, musi najprzód sam się odrodzić, przynajmniéj o tyle, aby mową swoją nie pomnażał chaosu i był ludziom pomocą nie zaś pokusą.

Dotąd napisał on tylko dwie rzeczy które mają prawdziwą wartość moralną: pierwsza, jest to przedmowa do nowéj edycyi dzieł jego, w któréj skreślił obraz upadku obyczajów we Francyi prawdziwie po mistrzowsku—druga, jest to komedya pod tytułem *les Idées de Madame Aubray* utwór wielkiéj doniosłości moralnéj—napisany w duchu prawdziwie chrześciańskim—dla tego też zapewne mniéj miał powodzenia na scenie, niż inne jego sztuki grane późniéj—krytycy zarzucają téj komedyi przesadę w sytuacyach. Ale to rzecz podrzędna — niema nigdy przesady w dobrém. Kto wypełnia sam to czego naucza, (jak to uczyniła pani Aubray, depcąc dla zasad światowe prawa) przesada w nim jest cnotą.

Les Idées de Madame Aubray, jest to jedyne dziełko ze wszystkich pism Dumasa, objaśniające najzupełniéj jego dążenie, mające za cel rehabilitacyę kobiety i odrodzenie się społeczeństwa.

Od początku swego literackiego zawodu, Dumas trzymał się zawsze sceny i pola romantycznego; polityką nie zajmował się wcale. Ostatnie wypadki wojenne we Francyi dały mu myśl zabłyszczenia na téj arenie. Pierwszym na niéj krokiem, była broszura pod tytułem: *List Juniusza do przyjaciela — Odkrycia ciekawe i pewne o znakomitych osobach obecnéj wojny*. Broszura ta poprzedzona przedmową pani Georges Sand miała wiele rozgłosu.

Pierwszy to raz Dumas zasłonił nazwisko swoje pseudonimem. Nieobeznany z gruntem politycznym, a ztąd nie będąc pewnym tryumfu puścił to pisemko *comme un ballon d'essai*—a że mu się powiodło, późniejsze dwa dziełka polityczne wydał już pod swojem nazwiskiem.

Autor z uśmiechem na ustach, wystąpił w niéj jako frenelog i fizyonomista. Położywszy przed sobą fotografie cesarza Wilhelma, cesarzowéj, Bismarcka, Następcy tronu & & przygląda się i kolejno kreśli ich charaktery, z całą nieomylnością pedantyzmu. Wiedza jego sięga tak daleko, że najskrytsze myśli i uczucia całéj téj gruppy osób, stoją mu otworem. I tak naprzykład Bismarck został człowiekiem historycznym, jedynie *par dépit*. Czy domyślacie się łaskawi czytelnicy, téj zagadki? Nie. Posłuchajcie więc Dumasa: „Bismarck był nieszczęśliwy w miłości, a co większa, słaby fizycznie—a więc zrozpaczony rzucił się w politykę.”

Z twarzy i czaszki cesarzowéj Augusty dowiedział się, że nienawiść, jaką żywiła w swojem sercu do cesarzowéj Eugenii, z powodu licznych jéj wdzięków i zalet, była jedną z ukrytych przyczyn, które wywołały wojnę między Niemcami a Francyą.

Nie przytaczam tu jego definicyi o cesarzu Wilhelmie, bo jest bardzo niepochlebna. Ale za to podnosi on i poetyzuje następcę tronu. Fryc ma wszystkie dobre guzy—jest wyjątkową istotą—daje mu miejsce między Lucyperem a Apollinem. W liczbie mnogich zalet, które mu przyznaje, znajduje się następująca: Il n'aime pas la guerre, il n'aime pas le sang versé; mais les uniformes eclatants et dorés le charment. Il se plait au milieu des etats majors brillants aux feu des bougies dans les grands salons dorés. L'homme ainsi équipé lui parait plus male et plus beau, plus digne qu'on l'aime(*). Przymiot nielada na monarchę. Umieściłem ten ustęp dosłownie, a to aby mnie nie posądzono o fałszywą interpretacyę tekstu. Po tym malowniczym obrazie, podnosi się Dumas do sfer niebieskich i objawia Bismarkowi co myśli pan Bóg o Niemcach i o nim—a następnie mówi co sam myśli o kanclerzu i jego polityce. Obrazy te przeplatane szychem tandetnych idei, które w ciągłéj są z sobą sprzeczności, kompletują to dziełko — ale gimnastyka stylu, który gwałtem dopomina się oklasków, jest tak zajmująca—tyle jest tam dowcipowego łoskotu, tyle niespodzianych a malowniczych zwrotów imaginacyi, że rzadki Francuz nie wziąłby tego fajerwerku za dyamentową kaskadę.

(*) Nie lubi wojny, nie lubi krwi rozlanéj—ale złocone i błyszczące mundury zachwycają go. Ma upodobanie w życiu pośród świetnych sztabów, przy blasku świec jarzących, w obszernych złoconych salonach. Człowiek w ten sposób przybrany, wydaje mu się piękniejszym, więcéj męzkim i godniejszym kochania.

W całéj téj broszurze nie ma ani śladu bolu, a pisał ją Dumas przy świetle płomieni pochłaniających wsie i miasta i śród grzmotu dział.

Na cóż przydadzą się filozoficzne teorye jego tendencyj, kiedy nie umie potwierdzić czynem wysokich myśli, i w chwili kiedy stanąć powinien dla przykładu jako apostoł i żołnierz, przewraca koziełki jako akrobata?

Ideałem pisarzy w Rzeczypospolitéj był Eschyles—pisał on dla sceny wyższe rzeczy niż *Damy kameliowe* i *Weselna wizyta*—ale pod Maratonem miał broń w ręku a nie pióro.

Sądziłem, że będę mógł pomieścić moje sprawozdanie w jednéj korespondencyi — omyliłem się. W następnéj więc dokończę je, aby studyum było kompletne. *T. R.*

OBRAZ

Wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj.

P. Hippeau złożył francuzkiemu ministrowi oświecenia raport o stanie wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj. Raport ten stanowi książkę o 400-tu przeszło stronicach i już się ukazał w drugiém wydaniu. Autor na miejscu oglądał zakłady naukowe amerykańskie i czerpał swoje wiadomości ze źródeł urzędowych: ma więc za sobą wszelkie warunki pewności i prawdziwości. Podajemy z jego książki czyli raportu najciekawsze ustępy. Czytelnik przekona się, że w istocie są to ciekawe fakta i urządzenia niepodobne wcale do europejskich, a jednak bardzo nauczające. Będziemy się trzymali porządku rozdziałów i przedmiotu zachowanego w oryginale.

ROZDZIAŁ I.

Fundusze na utrzymanie wychowania.

Fundusz edukacyjny składa się z następujących dochodów:

1. *Fundusz rządowy*. Na mocy konstytucyi, kongres Stanów Zjednoczonych ma prawo rozporządzania całą ziemią publiczną należącą do narodu i zaprowadzania w tym celu rozmaitych urządzeń. Zarząd téj własności publicznéj powierzono *wydziałowi rolnemu* (government land office), który zaprowadzono w r. 1812 i włączono do ministerstwa skarbu. Od r. 1859 przeniesiono go do ministerstwa spraw wewnętrznych.

Rozległość Unii wynosi 1,921,288,233 akrów (około 165,000 mil kwadratowych). Z tego 1,450,549,083 akry należą do ziemi, któréj sprzedaż powierzona jest wydziałowi rolnemu czyli land office. Szesnasta część ze sprzedaży takich ziem obraca się na szkoły i nazywa się działem szkolnym (school section). Wartość téj szesnastéj części jest różna odpowiednio do miejsca i okoliczności, w jakich się sprzedaż ziemi uskutecznia.

2. *Fundusz rządowy depozytowy*. Pod koniec roku 1835 rząd Stanów Zjednoczonych miał zaoszczędzonych 40 milionów dollarów (przeszło 200 milionów franków), któremi kongres tak rozporządził: 150 milionów franków przeznaczył na rozdzielenie między Stany czyli prowincye Unii, zostawiając im swobodę użycia tych pieniędzy jak będą uważały za najlepsze. W razie gdyby rząd centralny zapotrzebował zwrotu téj summy, prowincye miały ją zwrócić. Wszakże pomimo ostatniéj wojny rząd nie żądał zwrotu owéj summy. W wielu prowincyach cały dochód z tego depozytu rządowego przezna-

czony jest na szkoły, w niektórych część jego; tak np. prowincya new-yorcka otrzymała z depozytu 20,072,600 franków; ma od niego dochodu 1,300,000 fr., a z tych 830,000 fran. rocznie obraca na szkoły publiczne; w prowincyi Illinois udział z depozytu czynił 1,677,960 fr., a dochód od nich 100,000 fr.; w Connecticut udział z depozytu czynił 3,818,300 fran., a dochód od nich 225,000 franków.

3. *Fundusz rządowy rolny.* Ostatnim darem rządu centralnego na szkoły jest tak zwany *rolny.* Na mocy uchwały kongresu w r. 1862 wyznaczono dla każdego stanu czyli prowincyi pewną przestrzeń ziemi publicznéj odpowiednio do ilości wybieranych senatorów i posłów, z zastrzeżeniem, by ze sprzedaży owéj każda prowincya założyła u siebie kollegium, w którémby niezależnie od innych nauk wykładano wszelkie przedmioty naukowe mające związek z przemysłem rolniczym.

4. *Podatki miejscowe.* Chociaż dochód ze sprzedaży ziemi publicznéj należącéj do pojedynczych prowincyj może być znaczny, jednakże głównem źródłem na wydatki wychowania są podatki miejscowe, z których większa część idzie na środki edukacyjne. Wysokość podatku szkolnego oznaczają sami obywatele podług ilości dzieci i wysokości potrzeb. Dla zwiększenia funduszu edukacyjnego dołącza się doń opłaty od niektórych mocnych napojów i kary pieniężne. Gdzie niegdzie rodzice płacą bezpośrednio szkole za wychowanie dzieci, ale ten sposób należy do wyjątków. Przeciwnie wzmaga się dążenie, by wszyscy płacili podatek ogólny, a przez to wszyscy korzystali z edukacyi bezpłatnéj. Żeby się przekonać, ile na wychowanie idzie z podatków, a ile ze sprzedaży ziem lub funduszu rządowego, dość przytoczyć że 12 prowincyj (Connecticut, Indiana, Jowa i t. d.) wydało w roku 1867 na wychowanie 97,762,162 frank., a w téj summie dochód z funduszu rządowego czynił tylko 8,151,327 franków czyli około $\frac{1}{11}$ całego wydatku.

Ogólnéj summy obracanéj na wychowanie nie podobna obliczyć ściśle, gdyż co rok przybywa mnóstwo ludności napływowéj, a ztąd i dochód pojedynczych prowincyj ulega ciągłym zmianom. Brakło też centralnego zarządu szkolnego, któryby zbierał wiadomości statystyczne, dotyczące całéj sprawy wychowania. Dopiero od dwóch lat kongres uchwalił utworzenie *wydziału oświecenia.* Podług raportów drukowanych i to tylko z 22-ch prowincyj, pokazuje się, że w roku 1868 liczono w nich 124,613 szkół, do których uczęszczało 5,360,561 młodzieży. Zakładami témi kierowało 63,600 nauczycieli i 135,250 nauczycielek, w ogóle osób uczących 198,850. Z tych liczb widać, że nauczycielki stanowią 70% ciała uczącego; w r. 1862 stanowiły 45%. Summa wydatków na szkoły w tych 22-ch prowincyach przeniosła w tymże roku 1868 bajeczną cyfrę 269,288,553 franków na opłatę ciała nauczającego, i 86,386,395 fr. na sprzęty, książki, narzędzia. Razem 354,675,948 franków. Jeżeli do téj summy dodamy wydatki szkolne z 15-tu prowincyj, z których brak raportów, a mogą one bez przesady wynosić 100 milionów; naówczas okaże się, że Stany Zjednoczone wydają na wychowanie przeszło 450,000,000 franków.

Szkół liczą przeszło 200,000, co stanowi jedną szkołę na 180 mieszkańców; liczbę uczących się można oznaczyć na 7 milionów, dla których szkoła otwarta jest darmo. Szkoły amerykańskie dzielą się na rozmaite stopnie i kategorye, tak, że dzieci płci obojga począwszy od 5 lub 6 roku życia aż do 18 otrzymują najzupełniejsze o ile można ukształcenie. Olbrzymie fundusze szkolne pozwoliły tam nietylko zaprowadzić wychowanie bezpłatne, lecz także podwyższyć płacę uczących. Tak np. w New-Yorku dyrektor szkoły liczącéj 500 uczniów pobiera rocznie 16,000 franków; nauczyciele klassowi gdy klassa liczy 150 uczniów, pobierają po 7,250 frank. rocznie; nauczycielki po 3,755 fr.

Tak wielki fundusz edukacyjny pozwala też szkołom nabywać doborowe narzędzia fizyczne, chemiczne, tworzyć biblioteki, zbiory historyi naturalnéj, budować wspaniałe gmachy szkolne, urządzone z całym komfortem, o jakim w Europie nie słyszano. A gdy tak fundusz edukacyjny ciągle rośnie, budżet wojny się zmniejsza. W roku 1868 armia Stanów Zjednoczonych liczyła 48,000 ludzi; w r. 1869 zmniejszono ją do 42,000, następnie znów ją zredukowano.

(d. c. n.)

PRZYGODY I OBRAZKI ANATOLSKIE.

OPOWIEDZIAŁ

KARA AWDŻI.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 88.)

Lasy tutejsze są własnością padyszacha, a zatem faktycznie nie należą do nikogo: wolno każdemu w nich dokazywać co się żywnie podoba. To też trzeba widzieć w co się obróciły lasy tutejsze—same krzaki i zarośla pozostały z nich. A jaka szkoda! Bo w miejscach gdzie człowiekowi trudno lub niepodobna dobrać się, jak na dnie tutejszych głębokich „bałek," małych dolinek, albo na szczytach gór niedostępnych, tam lasy tutejsze w całéj okazałości i w całéj krasie swéj południowéj stoją przed zachwyconém okiem wędrowca. Kasztany słodkie, orzechy włoskie, buki, jawory, sykomory, dęby galasowe, graby i inne tutejsze drzewa dochodzą dzięki tutejszemu klimatowi nadzwyczaj szybko do kolosalnych rozmiarów; a laur dziki, bukszpany najrozmaitsze, dzikie mirty, śliczne dafny, rododendrony i wszelkiego gatunku pnące się i czołgające rośliny, oplatając nieprzebytą kolącą siecią całe setki pniów, cisną się jedne na drugie i swą fantastyczną zielenią uścielają tutejszy grunt leśny. Niekiedy daje się spotykać całe dęby wyschłe lub inne ogromne drzewa, całkowicie uwite od dołu do góry w najpyszniejsze bluszcze i inne pnące się rośliny—są to ozdobne piramidy leśne. Chwasty leśne, pomiędzy któremi szczególniéj odznaczają się swym wzrostem kolosalnym paprocie i gatunek wrzosu, przechodzące wysokością wzrost człowieka, robią przytém tak trudnym do wyśledzenia las tutejszy, że nie ma czemu dziwić się, gdy się napotyka niezmierną obfitość zwierzyny w tych strefach i to w pobliżu mieszkań ludzkich. Oprócz zwierzyny, lasy tutejsze obfitują we wszystkie znane nam gatunki grzybów jadalnych; lecz Turcy, jak i w ogóle tutejsi mieszkańcy, zaledwo parę tylko gatunków z nich jadają. Pomiędzy grzybami jest jeden gatunek, zwany sułtańskim, który z wierzchu jest zupełnie podobny do naszych muchomorów, tylko nie ma białego nakrapiania; pod spodem jest szafranowy, a dochodzi niekiedy wielkości czapki z dużym rondem i jest prawdziwą ozdobą tutejszego lasu; smak jego jest wytworny póki bywą młodym. Na owocach leśnych nie zbywa tutaj. Za kasztany słodkie i orzechy włoskie musimy drogo u siebie płacić, gdy tymczasem tutaj żywią się niemi dziki. Jagód tylko dzikich mało; oprócz poziomek, gdzie niegdzie w górach można spotkać jeszcze czarne jagody.

Oto tydzień blizko jak wałęsamy się po tych pięknych i tych kiepskich lasach, ale zaledwo kiedy niekiedy jaką sarenkę upolujemy. Nie wesoło nam; bo co upolujemy, to nazajutrz zjadamy, a tutaj trzeba coś zarobić na odzież, na amunicyę i na chleb; mięsa dobremu myśliwemu zabraknąć nie powinno. Dzisiaj przekonywam się, że myśliwstwo jest pańskim próżniaczym fachem, bo człowieka oddanego pracy nigdy wyżywić nie potrafi.

To na wpół dzikie życie prowadzimy z prostaczą monotonnością, bo swe potrzeby sami zaspakajać musimy. Po południu obiad, z rana i w wieczór herbata z winem i z cytryną—oto cała nasza dzienna strawa. Leśne powietrze, pogadanki i śpiewy wieczorne, te tylko po trosze słodzą znoje naszego życia. Lecz była jedna powinność szczególniéj dokuczliwa, było nią chodzenie po chleb do wsi, po który trzeba było co dzień jednemu dybać te pół mili.

Otóż pewnego dnia dostało się i mnie maszerować wieczorem do wsi. Przez dzień cały polowaliśmy po najniegodziwszych bałkach, do których jak z pieca trzeba było często złazić z pół godziny; nic dziwnego, że czułem na sobie strudzenie. Do strudzenia i nudy dołączyły się, bo całéj zdobyczy znowu dzisiaj mieliśmy jednego koziełka. Lecz co mię szczególniéj gniewa, jest to jakiś fatalizm, który do mnie widocznie przyplątał się, bo przez całe teraźniejsze polowanie nawet razu jednego nie wystrzeliłem. Pod takiemi wrażeniami wziąłem wór na plecy i flintę i powlokłem się do wsi. Nie ufając swéj pamięci, rzuciłem gałąź zieloną na drogę wielką przy wyjściu z naszéj bocznéj drożyny, która z naszego obozowiska prowadziła.

Przyszedłem do wsi wcześnie, na godzinę niemal przed zachodem słońca, a przypadek chciał, że chleb jeszcze nie był gotów. Musiałem tedy pójść do kawiarni, i pijąc czarną kawę, gawronić na baby tureckie i dzieciaki, które jakieś hałaśliwe manewra z psami wyrabiały i śmiały się z mego kapelusza. Słońce niemal już zupełnie zapadać poczęło, gdy szanowny bakał raczył mi oddać moje chleby. Zarzucam tedy gorący wór na plecy i śpiesznie ruszam z miejsca, aby przyjść przed nocą do domu. Na wychodném ze wsi kundysy mię opadły. Co u licha! myślę, czy już wszystko sprzysięgło się na mnie w tém polowaniu?

Jednak zmrok nie chce czekać na mnie, i pomimo mych najgorętszych życzeń, jeszcze połowy méj drogi nie uszedłem, gdy już ciemno się zrobiło. Masz tobie! myślę, wszak to i moja gałąź nic mi teraz nie pomoże. Lecz oto na moją pociechę za chwilę księżyc w pełni wytoczył swe ogromne koło po nad zaroślami i zrobiło się światło, choć szpilki zbieraj na ziemi. Podchodzę zresztą do mety, gdzie ów znak położyłem, lecz pomimo pozorów wszelkich, że go tutaj znaleźć muszę, w żaden sposób nie znajdę. Myślę, żem zmylił drogi i idę daléj. Idę i wracam od jednéj drożyny do drugiéj, i ani weź méj gałęzi wynaleźć nie mogę. Już jestem pewien, że mi ją jaki hultaj turecki z drogi strącił; zaczynam tedy hukać i nawoływać. Lecz i to wszystko napróżno; w lesie jak było cicho, tak cicho, pomimo że słuch natężam. Chodzę, hukam, jak ten puhacz, a w lesie ani listek nie kołychnie się, tylko księżyc swe martwe a łagodne promienie leje pełną falą po kniei i po wierzchołkach gór. Ten spokój martwiący, jaki zbłąkanego zwykle spotyka, jest to co go trwogą największą przejmuje i dodaje mu bodźca do robienia dal-

szych poszukiwań; to też i ja rzucam się, jak szczupak na ościeni, aby wybić się na wiadome wolne tory i na chybił trafił zapuszczam się w jedną drożynę.

Zaledwom kawał drogi uszedł, zdaje mi się, żem już trafił na prawdziwy mój ślad. I choć mi wór plecy odciska, pomykam wesoło, jak rozbitek co stanął u brzegu ocalenia. Lecz niestety! niedługo trwa to złudzenie, pozycya mi odkrywa że i teraz jestem na fałszywéj drodze. W téj chwili uczułem zmęczenie i usiadłem przy drodze; chłód nocny orzeźwia mię. Zamiast błąkać się, myślę ogień tu rozłożyć i resztę nocy przy nim przesiedzieć. Zaledwo jednak począłem rozpalać ogień, aż tu jak nie zawyją mi pod nogami wilczyska, tak że musiałem porwać za strzelbę, sądząc, że już zbierają się atakować. Upłynęło chwil kilka, a żaden mię nie atakuje— wyją i wyją tylko. Biorę się znów do palenia ognia, lecz co tylko trochę rozpalę, to znowu gaśnie,— tak od rosy nocnéj przemokły liście i drobne suche gałązki. Spaliłem wszystkie zapałki, a tu ognia ani weź; zarzucam tedy znowu mój wór i zostawiając w lesie wyjących nocnych kolegów, wracam napowrót na wielkiéj drodze. W prawo w głębi doliny, w gąszczu leśnym, widzę jakiś podejrzany ogień. Zapewne muszą to być jakieś łotrzyki, niezawodnie dezertery z wojska. Przed tymi jegomościami, szczególniéj z chlebem, trzeba dobrze kryć się; przeto idę bardzo ostrożnie, rozpatrując się pilnie na lewo i na prawo. *(d. c. n.)*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

CHOLERA INDYJSKA.

ze stanowiska geografii medycznéj i hygieny międzynarodowéj.

przez p. Fernadna Papillona.

(Revue des deux mondes).

Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 88).

Cholera przychodzi z Azyi do Europy lądem i wodą, to jest przez granicę rossyjsko-perską i morzem Kaspijskiém. Może także wtargnąć morzem śródziemném bądź z Azyi mniejszéj, bądź z Egiptu, a zatém należałoby przeszkodzić przeniesieniu epidemii do tych dwóch krajów przez granice oddzielające je od Persyi albo od Arabii. Wszystkie rządy europejskie okazały gorliwą działalność w urządzeniu środków zapobiegających i instytucyj sanitarnych zalecanych przez członków konferencyi—mianowicie w zaprowadzeniu służby kwarantannowéj. Wyrzekać coś stanowczego o skuteczności kwarantan, byłoby rzeczą przedwczesną; należy jednak przyznać że pewna liczba lekarzy kompetentnych, zaprzecza bezwarunkowo téj skuteczności, i że fakta stwierdzają niestety taką opinię.

P. Proust, który pilnie badał granicę rossyjsko-perską, gdzie Rossya urządziła kwarantanny i posterunki kozackie, — sądzi że na téj linii możliwym jest dość czujny nadzór, przeszkadzający z téj strony przedostaniu się cholery. Przyznaje jednak iż na niektórych punktach trudno się ustrzedz od przekradania się przemytników. Gdy idzie o przywiezienie cholery morzem Kaspijskiém, kwestya znacznie się utrudnia. Wszystkie statki odpływające od wybrzeża perskiego tego wielkiego jeziora, kierują się w stronie rossyjskiéj ku pewnéj liczbie portów, których główne są: Baku, Derbent i Astrachań. Niektóre z tych portów posiadają lazarety; inne jak Astrachań, nie mają żadnych zakładów sanitarnych. Obsługa nie jest też dostateczną, rewidowanie i badanie pasażerów nigdzie nie odbywa się na seryo. Taka jest relacya p. Prousta. Lekarz ten udawał się do rządu Rossyjskiego prosząc o skuteczniejszą kontrollę i surowszy nadzor. Żądał przedewszystkiem ustanowienia posterunków wzdłuż brzegów, ażeby w razie potrzeby być w możności przeszkodzenia wylądowaniu statków, któreby chciały pogwałcić przepisy. Byłoby to zresztą rzeczą łatwą gdyż po morzu Kaspijskiém pływają tylko rossyjskie statki. Z drugiéj strony uwagi pana Prousta były tém więcéj na czasie, że lokale kwarantannowe zbudowane w innéj epoce przeciwko innéj zarazie, mają być właśnie przerobione. P. Proust naradzał się wtym przedmiocie z kilku wyższemi urzędnikami rossyjskiemi przedstawiał swoje poglądy Towarzystwu lekarskiému w Tyflisie i powrócił z tém przekonaniem, że jeżeli wskazane przez niego środki będą dokładnie zastosowane (jak się zresztą tego spodziewa) na wybrzeżu morza kaspijskiego,— przeniesienie cholery z Persyi do Rossyi będzie bardzo trudném. Jestto jednak tajemnica przyszłości.

Przenieśmy się teraz na granicę Persyi i Turcyi Azyatyckiéj. Na całéj rozciągłości granicy turecko-perskiéj, zacząwszy od góry Ararat do zatoki perskiéj,—intendentura ottomańska utrzymuje posterunki obserwacyjne, które wrazie potrzeby służą za kwarantanny. Posterunki te kosztowne dla skarbu, uciążliwe dla ludności szczególnie dla perskiéj,—były dotychczas zupełnie bezsilnemi kiedy szło o zabezpieczenie terrytoryum ottomańskiego od wtargnięcia cholery. Pochodzi to ztąd, że na téj granicy znajduje się znaczna liczba plemion koczujących: kurdów, Baktiarów i innych, którzy w lecie prowadzą trzody na paszę na wysokie płaskowzgórza Persyi, a w zimie powracają ku równinom Azyi mniejszéj. Istnieje więc na téj linii ciągły ruch migracyjny którego niepodobna ująć w karby kwarantannowe. P. Tholozan słusznie utrzymuje, że w tym razie środki zalecane przez konferencyę międzynarodową nie dałyby się zastosować.

Nierównie użyteczniejszym systematem kwarantannowym był ten, który przeszkodził szerzeniu się w Egipcie epidemii srożącéj się w 1871 roku w Hedżaz na zachodniem wybrzeżu morza Czerwonego. Część tego kraju obejmująca Mekkę i Medynę pustoszona była przez cholerę ku końcowi 1871 r. W obec niebezpieczeństwa zagrażającego Egiptowi w chwili powrotu pielgrzymów, administracya sanitarna Egipska postanowiła najprzód przecięcie w razie potrzeby wszelkiéj kommunikacyi morskiéj między Hedżazem i Egiptem; widząc jednak, że niebezpieczeństwo nie było tak bezpośrednio grożącém, zmieniła potém tę decyzyę i zaleciła, ażeby wszyscy pielgrzymi wracający z Mekki przez Egipt, odbyli najprzód kwarantannę w El-wedż, małym porcie wybrzeża arabskiego, położonym o 350 mil od Suezu, poczém będą mogli przebyć międzymorze przez kanał nie udając się do Egiptu, lub też poddadzą się nowéj obserwacyi na posterunku urządzonym w tym celu u źródeł Mojżesza. W El-wedż został więc urządzony lazaret pod namiotami, pod kierunkiem dwóch lekarzy. Komisya specyalna wyznaczona została w Sueźie do rewidowania podróżnych i ładunków, a lekarze mający nadzor nad Hedżazem mieli sobie polecone przesyłanie do Egiptu raportów o stanie zdrowia pielgrzymów. Ceremonie odbywano ale cholera nie ukazywała się jakoś, tak iż sądzono, że można będzie upoważnić statki wiozące pielgrzymów do odpłynięcia wprost do Suezu. Przygotowywano się właśnie do pierwszego odjazdu, kiedy epidemia wybuchła w Mekce. Kuryer przywiózł natychmiast do Dżeddy rozkaz wydania statkom świadectw, iż wypływają z miejsc dotkniętych epidemią, i wysłania ich do El-wedż. Można sobie łatwo wystawić niezadowolenie ajentów kierujących ładowaniem statków i kapitanów pod których dowództwem okręty odpływały. Kilku z tych ostatnich oświadczyło po prostu, że popłyną prosto do Suezu. Energia lekarzy zaledwo zdołała ich od tego powstrzymać. Jednocześnie to rozbudzenie się cholery w Mekce spowodowało taki strach paniczny między pielgrzymami, że opuszczali oni miasto jak najprędzéj, uniemożebniając wszelki rozkład odjazdów. Bądź co bądź lazaret w El-wedż wypełnił jak należy swoje zadanie, dzięki intelligencyi i poświęceniu lekarzy. Cholera nie przedostała się do Egiptu.

Jeżeli w pewnych wypadkach systemat kwarantan morskich jest skutecznym, w większéj części wypadków nie daje rządom środków przeszkadzających przewiezieniu cholery. Podajemy tu nowy nauczający przykład, którym zakończymy te uwagi o międzynarodowych środkach zapobiegających wtargnięciu klęski azyatyckiéj. *(d. c. n.)*

Krużganki Dominikańskie

w Krakowie.

Kraków należy do miast które niemniéj od innych krajów różnemi czasy nawiedzane były pożarami. Ostatni pożar Krakowa w roku 1850 był jednym z najbardziéj niszczących, spłonęły w nim dwa kościoły i pałac biskupi oprócz mnóztwa domów prywatnych. Dominikański kościół skutkiem tego pożaru od fundamentów cały prawie odbudowaniu uległ, a to co zostało z klasztoru, od pożaru wielce ucierpiało tak iż pomniki i grobowce nawet w korytarzach i tak zwanym krużganku otaczającym dziedziniec klasztoru kawałami poobłupywane ogniem. Całość jednak budowl klasztornych o tyle się dobrze zachowała iż pomimo przebudowań i dobudowań w wieku XVI uskutecznionych, nosi na sobie charakter średniowiecznego ostrołukowego stylu. Część krużganków na rycinie naszéj przedstawiająca jeden z najlepiéj zachowanych załomów rogowych czworobocznego korytarza, nosi na sobie wybitne cechy charakteru klasztorów średniowiecznych.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Октября (4 Ноября) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Ad.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.